

Rozdział 1

Pobudka po tysiącu lat (nie polecam)

Najpierw był krzyk. Nie jej. Czyjś inny, gdzieś z prawej. Potem metal uderzający o metal, trzask pękających tarcz, syczenie zakłęb. W nozdrza uderzył dym: rozgrzane żelazo, mokra ziemia i... grill? To ostatnie musiało być cholernie złym znakiem.

Green Light wyrwała się z ciemności jak ktoś, komu nagle otwarto drzwi na środek bitwy. Noc była poszarpana błyskami magii. Nad głową zawisł księżyc, wielki, nienaturalnie jasny. Zbyt jasny.

– Na lewe skrzydło! – ryknął znajomy głos. – Green, zabezpiecz flankę!

Odruch był szybszy niż myśl. Rozłożyła skrzydła, poczuła znajomy ciężar zbroi, smak adrenaliny pod językiem. Pobiegła. Nie zastanawiała się, czy to ma sens – jej ciało pamiętało, co robić.

Nocna Straż przesuwała się jak ciemna fala. Kucoperki w zbrojach połykających światło. Na ich hełmach błyskały symbole księżyca. Nad nimi, jak cień z gwiazd, leciała Luna – duża, ciemna, z grzywą jak żywe niebo. Green uśmiechnęła się mimo wszystko. Zawsze lubiła ten widok. Zawsze lubiła tę noc, nawet wtedy, gdy wszyscy mówili, że nadchodzi koniec świata.

– Prawo czyste! – wrzasnęła w powietrze, śmigając między pancernymi sylwetkami. – Lewo w dupie, ale kiedy nie było?

Kilku żołnierzy parsknęło krótkim śmiechem. Taka już była. Jako Kapitan Nocnej Straży miała dwa talenty: walkę i kłapanie dziobem w najgorszym możliwym momencie.

Z boku błysnęło złote światło. Złote. Nie nocne, nie księżycowe. Słoneczne. Zanim zdążyła się odwrócić, teren zalał oślepiający blask. Jakby ktoś wziął całe południe i rzucił nim w środek pola bitwy. Świat zniknął w bieli.

Green zakłęta, przestraszona bardziej niż by się kiedykolwiek do tego przyznała.

– Nie, nie, nie... – wymamrotała, czując, jak coś próbuje wyrwać ją z miejsca, z czasu, z ciała. – Jeszcze nie skończyłam...!

Próbowała rozwinąć skrzydła, wbić kopyta w ziemię, złapać jakikolwiek punkt zaczepienia. Nic z tego. Świat się rozlał, jak świeża farba w deszczu.

W bieli zamigotały kontury.

Wieża. Balkony. Witraże.

Złote słońce.

Celestia.

Jej sylwetka pojawiła się jak wspomnienie wrzucone do obcej głowy. Wysoka, spokojna, otoczona aureolą światła. Nie miała na sobie zbroi. Nie musiała.

Green spróbowała wrzasnąć, rzucić się do przodu, cokolwiek. Gardło nie zadziało. Kopyta nie zadziały. Nawet skrzydła odmówiły współpracy.

Była tylko ona i światło.

I nagle — nic.

•

Cisza.

Nie taka normalna, leśna, pełna szumu drzew. To była cisza, która dławiła. Jak gruba warstwa lodu na jeziorze. Green leżała. Przynajmniej tak jej się wydawało. Grawitacja była... umowna. Czuła swoje ciało jako coś ciężkiego, ale oddzielnego od niej o pół kroku. Jakby miała zbroję, której nie mogła do końca włożyć.

Spróbowała otworzyć oczy. Nie miało to sensu – i tak była ciemność. Nie noc. Taka... neutralna ciemność. Czekająca.

– No pięknie – mruknęła w pustkę. – Czyli jednak niebo. Zawsze wiedziałam, że będzie rozczarowujące.

Jej głos zabrzmiał dziwnie, jakby jednocześnie w głowie i poza nią. Ale przynajmniej brzmiał. To już coś.

– To nie niebo.

Głos przyszedł znikąd. Cichy, znajomy, wibrujący gdzieś między uszami a sercem. Green zamarła. Był tylko jeden głos, który miał taki ciężar nocy.

– Księżniczko? – wymknęło jej się bardziej automatycznie niż świadomie.

Ciemność zafalowała. Nie widziała dokładnie kształtu, ale nagle „wiedziała”, że Luna jest przed nią. Tak jak się wie we śnie, że to ta konkretna osoba, nawet jeśli jej kontury są rozmyte.

– Wolalabym, żebyś mówiła do mnie po imieniu – odparła Luna łagodnie.

– No tak, ale co się dzieje? – powiedziała Green. – Czy ja jeszcze żyję... – urwała. – Gdzie właściwie jesteśmy?

– W najbezpieczniejszym miejscu, jakie istnieje. Pomiędzy – odparła Luna. – W przestrzeni snu. Twojego, trochę mojego, trochę... zaklęcia, które cię trzymało.

Green uniosła brew, choć w tej formie było to tylko wrażeniem.

– Sny są dla tych, co mają czas spać. Ja byłam w środku natarcia. – Jej głos stwardniał, wracając do tonu dowódcy. – Raport, Luno. Co z moją flanką? Co z oddziałem?

Ciemność zafalowała. Milczenie Luny trwało o sekundę za długo.

– Nie ma już oddziału, Green – powiedziała cicho. – Nie ma flanki. Nie ma wojny.

– Przegraliśmy? – zapytała Green, czując chłód, który nie miał nic wspólnego z temperaturą.

Luna spojrzała na nią z czymś między rozbawieniem a bólem.

– Gorzej – odparła. – Zostaliśmy wymazani.

Green prychnęła nerwowo.

– Wymazani? Co to znaczy? Celestia rzuciła zaklęcie masowej amnezji?

– Rzuciła na nas czas – powiedziała Luna. – Tysiąc lat, Green. Tyle spałaś.

Green zamarła. Ciemność wokół niej zdawała się zgęstnieć.

– Tysiąc... – powtórzyła, jakby to słowo było w obcym języku. – Żartujesz. Powiedz, że to jeden z twoich testów na odporność psychiczną. Powiedz, że to była krótka drzemka taktyczna.

– Chciałabym – szepnęła Luna. – Ale dla świata to była cała epoka. Epoka, w której Słońce świeciło nieprzerwanie, oczywiście nie dosłownie, ale my... my stałyśmy się tylko tłem.

Green potrząsnęła głową, próbując zrzucić z siebie ciężar tej liczby.

– Dobra. Konkrety – warknęła, próbując uchwycić się faktów. – Kto rządzi stolicą?

– Celestia. Od dziesięciu wieków.

– A my? – Green zmrużyła oczy. – Gdzie w tym wszystkim my? Jesteśmy jeńcami? Wygnańcami?

– Jesteśmy folklorem – odpowiedziała Luna z goryczą. – Według oficjalnej historii, zła „Nightmare Moon” została pokonana, a jej potworna armia przepadła w mroku.

– Czekaj, czekaj. – Green uniosła kopyto. – „Nightmare Moon”? Kto wymyślił tę ksywkę? Brzmi jak z taniej powieści grozy dla nastolatków.

– Historia lubi proste podziały, Green. Dobra Pani Dnia i Zła Pani Nocy. – Luna uśmiechnęła się smutno. – Nie jesteśmy już żołnierzami, moja droga. Jesteśmy mitem. Potworami, którymi straszy się niegrzeczne źrebięta, żeby jady owsiankę.

Green zaśmiała się sucho, bez cienia wesołości.

– Czyli przegraliśmy nie tylko na polu bitwy – skwitowała. – Przegraliśmy też w bibliotekach. Cudownie.

•

– Czyli tysiąc lat? – powtórzyła. – Tak po prostu? I nie mogłaś wymyślić nic lepszego niż „pójdź spać, obudzę cię, jak będzie po wszystkim”?

– W tamtej chwili – głos Luny stwardniał odrobinę – wszystko inne oznaczałoby, że giniesz na miejscu. Razem z połową mojej osobistej straży.

Wspomnienia zamigotały: okrzyk, światło, poczucie, że coś zaraz eksploduje. Oczywiście, że było „po wszystkim”.

Green odetchnęła powoli. O ile w ogóle oddychała.

– Czyli... – przeliczyła w głowie. – Przegapiłam zakończenie wojny, epilog, odbudowę, nudne lata pokoju, pewnie też parę świąt, na których były darmowe ciastka. Słabo.

– Przegapiłaś dużo – przyznała Luna. – Ale nie dlatego cię budzę, żeby nadrabiać urodziny.

Ciemność wokół nich zaczęła się nieznacznie rozjaśniać. Nie do pełnej jasności, raczej do odcienia głębokiego granatu. Green poczuła, że „stoi”. Cokolwiek to znaczyło. Przed nią zarysowała się sylwetka Luny – teraz wyraźniejsza, choć wciąż trochę migocząca, jak odbicie w wodzie.

Wyglądała... inaczej niż Green ją pamiętała z tamtej nocy. Mniej surowo. Bardziej zmęczona. Jak ktoś, kto zbyt długo dźwigał w głowie za dużo cudzych snów.

– Okej – powiedziała Green, prostując się. – To może od początku?

Luna spojrzała na nią z czymś między rozbawieniem a bólem.

– To zależy, którą historię przeczytasz – odpowiedziała.

– Przestań bawić się w zagadki, księżniczko – parsknęła Green. – Wiesz, że jestem po tej stronie barykady, która lubi konkrety.

Luna westchnęła.

– Dobrze. – Jej głos na moment stał się bardzo rzeczowy, prawie wojskowy. – Bitwa, którą pamiętasz, była jedną z ostatnich. Ja... przegrałam. Celestia użyła Elementów Harmonii. Uwięziła mnie na Księżycu. Ciebie i resztę Straży wprowadziłam w stazę, ukrytą głęboko pod starym zamkiem. Minęło mniej więcej tysiąc lat. – Zawiesiła głos. – Wróciłam niedawno.

– A ja? – wciął się Green. – Kto mnie obudził? Zakładam, że skoro tu jesteś, to to nie robota Słońca.

– Ja – odparła Luna. – Ale... nie od razu. Najpierw sama musiałam... – urwała, szukając słowa – ...przebudzić się. Wróciłam jako „zła” księżniczka nocy w ich legendzie. Znowu użyto Elementów, tym razem ze strony sześciu młodych kłaczy. – Kącik jej ust drgnął. – Uzdrowiły mnie. Tak im powiedziano.

Green zmrużyła oczy.

– Powiedziano?

– Świat dostał prostą opowieść – powiedziała Luna, patrząc gdzieś ponad jej głowę. – „Luna była zła, Celestia ją wygnała, teraz dobre Elementy ją uleczyły, wszyscy żyją długo i szczęśliwie.” Wojna jest bajką. My jesteśmy... straszakami. – Spojrzała znów na Green. – Nocna Straż to potwory z legend dla dzieci.

Green prychnęła tak głośno, że ciemność wokół zadrżała.

– Serio? – uniosła brwi. – Equestria spędziła cały tysiąc lat, robiąc z nas potwory do odstraszenia niegrzecznych maluchów?

– W większości tak – przyznała Luna. – A jeśli chodzi o fakty... archiwa zostały wyczyszczone. Kroniki przeredagowane. Witraże opowiadają jedną wersję wydarzeń. Wersję słońca.

Przez moment między nimi zawisło milczenie.

– Dlaczego... – zaczęła w końcu, wolniej – ...budzisz mnie właśnie teraz? – Zawahała się. – I jak to się ma do tego, że podobno jesteś „odmieniona, wdzięczna i całujesz Celestię po kopytkach”?

Luna parsknęła, zaskakująco szczerze.

– Nie całuję – powiedziała. – Ale udaję wdzięczną, owszem. – Zmrużyła oczy. – I wiesz co? W pewnym sensie jestem. One naprawdę mnie uratowały – te młode klacze. Nie od wojny, ale od samej siebie. – Wzruszyła lekko skrzydłami. – Tylko że... to nie znaczy, że historia, którą o nas opowiadają, przestała być kłamstwem.

Green patrzyła na nią chwilę w ciszy.

– Czyli... Oficjalnie jesteś grzeczną, skruszoną ciocią od księżycy. Celestia zaczyna ci trochę ufać. Świat wierzy, że wszystko jest super. A ty w tym czasie... dzwonisz do mnie przez sny.

– Bardzo w skrócie? – Luna uniosła brew. – Tak.

– Podoba mi się – stwierdziła Green. – Brzmi jak plan.

– To bardziej desperacja niż plan – przyznała Luna cicho. – Nie mogę poruszać się swobodnie. Jestem obserwowana. Zakłęcia w zamku wyczuwają każdy większy ruch magii. – Przesunęła spojrzeniem po niewidzialnym horyzoncie. – Ale sny... sny należą do mnie. Zawsze należały.

Green powoli kiwnęła głową.

– Czyli ten cały cyrk z przemówieniem, z uśmiechami, z „Luna żałuje i będzie greczna”... – zawiesiła głos. – To było po to, żeby Celestia poluzowała smycz?

– Między innymi – przyznała Luna. – Im bardziej uwierzy, że jestem spokojna, tym mniej będzie mnie pilnować. A ja w tym czasie... zaczynam budzić tych, których kiedyś zdradziłam, każąc im zasnąć. – Spojrzała ostro na Green. – Jeśli mam cokolwiek naprawić, potrzebuję Nocnej Straży.

Green zaśmiała się krótko.

– Dobrze wiesz, że dużo lepiej brzmi „potrzebuję cię, Green” niż „potrzebuję Straży” – zauważyła. – Ale załóżmy, że przyjmuję. – Przekrzywiła lekko głowę. – Co właściwie chcesz, żebym zrobiła? Napiszę ci ładny list do redakcji kronik? „Szanowny Czytelniku, byłam tam i nie było aż tak dramatycznie”?

Luna nie uśmiechnęła się. Jej spojrzenie spoważniało.

– Chcę, żebyś zaczęła chodzić po świecie, który o nas zapomniał – powiedziała. – Żebyś zobaczyła na własne oczy, jak wygląda ich „Harmonia”. Co mówią o wojnie. Jakie opowieści opowiadają dzieciom. – Zawiesiła głos. – I żebym miała w tobie kogoś, komu mogę pokazać, co Celestia ukryła. Kim stały się Elementy. Jakie decyzje podjęłam ja.

Green uniosła brwi.

– To brzmi... – zaczęła.

– Jak wywiad – dokończyła za nią Luna. – Wiem.

Ich spojrzenia skrzyżowały się w tej dziwnej, bezcielesnej przestrzeni.

– Nie chcę obalać Celestii od razu – dodała księżniczka po chwili. – Nie dałabym nawet rady jej pokonać w tym momencie w walce. A przecież Elementy są po jej stronie – Westchnęła.

– Na początek chcę, żebyśmy przestały być kłamstwem. Żeby nasze imiona nie były tylko straszakiem, bez tego nie zdobędziemy żadnego poparcia.

Green pokręciła głową.

– Wiesz, że to skomplikowane – powiedziała. – Kucyki... uwielbiają proste historie. „Zły, dobry, tęcza, koniec”. Dodasz chociaż jeden odcień szarości i już jest płacz, że nie wiadomo, komu kibicować.

– Wiem – przyznała Luna. – Dlatego nie będziemy tego robić gwałtownie. – Spojrzała uważnie na Green. – Dlatego potrzebuję kogoś takiego jak ty.

– Zawadiackiego geniusza w zbroi? – zapytała Green z niewinną miną.

– Kogoś, kto umie wchodzić tam, gdzie nie powinno się dać wejść – odparła Luna. – Kto potrafi słuchać, żartować, a jednocześnie zobaczyć, kiedy coś jest niebezpiecznie „zbyt idealne”. – Zmiękczyła głos. – I kogoś, kto kiedyś był gotów umrzeć za to, w co wierzyliśmy.

Green zamruła.

No dobrze. To uderzyło trochę głębiej niż planowała.

– Okej – powiedziała po chwili, poprawiając sobie niewidzialny hełm. – Brzmi ambitnie. Ale żeby wchodzić, muszę mieć nogi. A nie wiem, czy zauważyłaś, ale obecnie jestem głównie... concept artem.

Ciemność wokół zadrżała, jakby ktoś stuknął w szybę.

– To zaraz się zmieni – odparła Luna. – Staza, w której byłaś, słabnie. Będzie bolało. – Zawiesiła głos. – Bardzo.

– Byłam na wojnie – prychnęła Green. – Ból i ja mamy dawno po imieniu.

– To trochę inny rodzaj – uprzedziła Luna. – Ciało, które nie ruszało się tysiąc lat, nagle będzie musiało... nadgonić. – Jej oczy pociemniały. – Ale po wszystkim znowu będziesz... sobą.

Green zastanowiła się przez sekundę.

– W porządku – powiedziała, wciągając wymyślony oddech. – Ale mam jeden warunek.

– Słucham.

– Uprzedzaj mnie o swoich planach – powiedziała prostym tonem. – Jeśli znowu mam zasnąć na tysiąc lat to chciałabym mieć chociaż poduszkę pod głowę.

Luna spojrzała na nią długo.

– Zgoda – powiedziała w końcu. – Ale ten sam warunek dotyczy ciebie. – Uniosła lekko brodę. – Nie działaj na własne kopyto, planujemy razem. Teraz nawet najmniejszy błąd może nas obie kosztować życie.

Green uśmiechnęła się krzywo.

– Ojej, szczerść. Jakie to groźne – mruknęła. – Dobra, księżniczko. Mamy umowę.

Wyciągnęła kopyto. W tej przestrzeni to nie miało sensu, ale i tak to zrobiła.

Luna zawahała się tylko chwilę, potem „dotknęła” jej kopyta swoim. Świat wokół na moment rozjarzył się bladej, księżycowej barwy.

– Czas – powiedziała cicho. – Obudzę cię teraz naprawdę. Potem spróbuję skontaktować się z tobą jeszcze raz, kiedy zaśniesz. Celestia nie sięga tutaj, ale jeśli poczuje, że pod Everfree dzieje się coś dziwnego, będzie pytać.

Green aż się uśmiechnęła szerzej.

– Nie martw się – rzuciła. – Jak coś spieprzę, zrobię to z klasą.

•

Ból przyszedł bez uprzedzenia.

Najpierw jak ukłucie w klatkę piersiową. Potem więcej – nogi, skrzydła, kark, każdy mięsień, każdy staw. Jakby ktoś po tysiącu lat leżenia kazał jej sprintować pod górę, w zbroi, z trzykrotnym wyposażeniem zapasowym.

Green wciągnęła gwałtownie powietrze. Tym razem zupełnie prawdziwe. Płuca zapiekły ognistym protestem, jakby przypomniały sobie o latach bezczynności.

Powietrze było zimne, wilgotne, pachnące kamieniem i kurzem. I bardzo, bardzo potrzebne.

Serce tłukło się jak oszalałe. Przez kilka pierwszych uderzeń miała wrażenie, że w ogóle nie mieści się jej w klatce piersiowej – za duże, za szybkie, jakby należało do kogoś innego. Dopiero kiedy rytm zwolnił z „panika na polu bitwy” do „znośna nerwica”, była w stanie rozróżnić, gdzie kończy się ból, a zaczyna normalne istnienie.

Kiedy otworzyła oczy, świat nie był już abstrakcyjnym granatem. Był... kamieniem. Prawdziwym, zimnym, popękanym kamieniem sklepienia nad nią. Po bokach widziała resztki run, które kiedyś musiały świecić. Teraz były tylko wypalonymi śladami.

Spróbowała poruszyć kopytem.

– Ała. – Słowo wyszło samo. Głos zabrzmiał jak stary instrument, który ktoś po latach próbował zmusić do zagrania skocznej melodii.– Okej. Teraz rozumiem, o co chodziło z „bardzo”.

Zbroja Nocnej Straży wciąż na niej spoczywała a ona leżała pod dużym, skruszonym kryształem, który wyglądał jak pół otwarta „trumna” postawiona na sztorc. Jego powierzchnia, usiana pęknięciami, przypominała lód po zbyt długiej zimie.

Green nie od razu zorientowała się, że ten kryształ należał do niej.

Widziała takie dziesiątki razy – w czasie przygotowań do stazy, w planach, które miały być „na wszelki wypadek, oby nigdy się nie przydały”. Nie miały wyglądać jak grobowce. Miały być eleganckim, przemyślanym planem D.

Teraz wyglądały jak rząd nagrobków.

Z trudem podniosła się na przednie kopyta. Mięśnie zaprotestowały ostrym bólem, stawy zaskrzypiały jak stary most. Czuła się, jakby jej ciało było cudze, trochę za ciasne i odrobinę źle złożone.

– No, dalej, Green – mruknęła do siebie. – Nie takie rzeczy sklejałaś w biegu.

Odepchnęła się i, chwiejąc się, stanęła. Świat zachwiał się razem z nią. Musiała przez moment wbić kopyta w kamienne płyty, czekając, aż czarne plamki przestaną tańczyć jej przed oczami. Dopiero wtedy rozejrzała się naprawdę.

Komnata była ogromna, ukryta głęboko pod fundamentami Zamku Dwóch Sióstr – labirynt korytarzy znany tylko Lunie i Nocnej Straży. Było to Sanktuarium Nocy, komnata stazy.

Rzędy kryształowych monolitów ciągnęły się półkolami, każdy ustawiony z wojskową precyzją. Miały barwę głębokiego indygo, jak noc tuż przed świtem, i matową powierzchnię, przypominającą sprasowane warstwy ciemności. W ich wnętrzu migotały drobinki uwięzionego gwiazdnego pyłu – jak miniaturowe konstelacje zatrzymane w szkle.

To nie były puste grobowce. W każdym monolicie, otulony ciemną magią, trzymany był w idealnym stanie żołnierz Nocnej Straży: skrzydła rozłożone do lotu, pysk spokojny, zawieszony między ostatnim oddechem a beczasem. Green poczuła, jak żołądek ściska się jej w twardy supeł.

Dwudziestu. Zliczyła automatycznie, przesuwając spojrzeniem po kręgu. Dwudziestu śpiących kucoperków, każdy z własną historią, własnymi dowcipami przy ognisku, własną ulubioną stroną, na którą przewracał się w hamaku.

Teraz wszyscy wyglądali tak samo. Podeszła najpierw do najbliższego kryształu po lewej. W środku spał masywny ogier o poszarpanym uchu. Nawet w stazie dało się odgadnąć jego wiecznie zadziorny wyraz pyska.

– No cześć, Iron – szepnęła. – Przegapiłeś przemówienie. Podobno było wzruszające.

Dźwięk odbił się cicho od kamiennych ścian, ale w kryształ nie wniknął. Żadnego drgnięcia. Przeszła do następnego. Tu drobna klacz z krótką, postrzępioną grzywą i skrzydłami szerszymi niż wypadałoby przy jej wzroście. W stazie wyglądała na spokojną, prawie młodszą.

– Ty też śpij – mruknęła Green. – Jak będzie trzeba, obudzimy cię na najgorszą zmianę. Obiecuję.

Zatrzymała się dopiero przy własnym kryształowym monolicie. Teraz, gdy patrzyła z boku, widziała w nim płytkie wgłębienia, gdzie kiedyś spoczywały jej skrzydła. W środku zostało tylko echo jej sylwetki: ciemniejszy kształt na tle jaśniejszych warstw.

– Ładna trumna, Kapitan – mruknęła do siebie. – Szkoda byłoby jej nie wykorzystać ponownie... ale może jeszcze chwilę się powstrzymamy.

Oparła czoło o chłodną powierzchnię, zamknęła na moment oczy. Zbyt wiele myśli próbowało jednocześnie przedostać się na front – wojna, Luna, Celestia, tysiąc lat – ale jedna, najbardziej przyziemna, była zaskakująco głośna:

Jestem głodna. Prawie parsknęła śmiechem.

– Serio, organizmie? – uniosła brwi. – Tysiąc lat nic nie robiłeś, a teraz pierwsze, co ci przychodzi do głowy, to owsianka?

Żołądek odpowiedział wymownym burknięciem.

– Dobra – westchnęła. – Najpierw zobaczymy, czy świat w ogóle jest wart pobudki. Jedzenie załatwimy w punkcie drugim.

Stała stabilnie na wszystkie cztery kopyta i ruszyła w stronę wyjścia z komnaty. Nad portalem, wykutym w ciemnym kamieniu, wciąż widniał symbol skrzydła nietoperza splecionego z półksiężycem. Był starty, porysowany czasem, ale wciąż czytelny.

– Wracamy do gry, kochani – powiedziała cicho w stronę śpiącej Straży. – I nawet mamy przewagę. Nikt nie pamięta, że kiedyś już graliśmy.

Korytarz prowadzący z komnaty był wąski, ale znany. Znany... a jednocześnie obcy. Ściany, które kiedyś błyszczały chłodnym blaskiem kryształów, teraz były matowe, miejscami nadkruszone. Rzędy lunarnych lamp – niewielkich kryształów osadzonych w srebrnych oprawach – wisiały nadal, ale większość była martwa. Tylko co któryś żarzył się cichą poświatą, jak świeczka, która zapomniała, że powinna dawno zgasnąć. Green to nie przeszkadzało – doskonale widziała w ciemności, pomagały jej w tym oczy oraz wyostrzony słuch.

Stawiała kroki powoli, ostrożnie, jakby uczyła się chodzić od nowa. W zasadzie – trochę tak było.

Pierwszy krok: kopyta odrywają się od podłoża.

Drugi: kolana nie uginają się do środka.

Trzeci: skrzydła nie próbują nagle odlecieć w innym kierunku.

Po piątym kroku poczuła, że świat znowu zaczyna wirować. Oparła się o zimny mur, przyklejając policzek do chropowatej powierzchni. Kamień pachniał wilgocią, starym kurzem i czymś jeszcze – ledwo wyczuwalną nutą tej samej magii, która trzymała jej Straż w kryształach.

– Ugh – mruknęła. – Okej, Green. Plan na dziś: przetrwać drogę do schodów. Ratowanie świata przenosimy na jutro.

Za kilka zakrętów korytarz rozszerzał się w szerokie, okrągłe pomieszczenie – dawną salę zbiórek. Tutaj srebrne linie na posadzce tworzyły skomplikowany symbol Nocy: splecione orbity gwiazd, półksiężyc i rozpostarte skrzydła.

Kiedyś, przed bitwami, stawali tu wszyscy – bark w bark. Teraz Green przeszła przez wzór samotna, zostawiając w kurzu krzywą, chwiejną linię kopyt. Po prawej mignęło jej wejście do zbrojowni. Drzwi były uchylone, zawiasy nadgryzła rdza.

Zawahała się.

Z jednej strony – powinna sprawdzić wyposażenie. Z drugiej – samo chodzenie stanowiło wyzwanie; dorzucenie do tego przekopywania się przez stare skrzynie mogło skończyć się tym, że znajdą ją za sto lat w heroicznej pozie „zgon na pudle z hełmami”.

– Potem – powiedziała w próg. – Nigdzie nie uciekajcie.

Zbroja na jej grzbiecie wystarczała na pierwszą fazę misji: byle dojść do świata żywych. Im dalej szła, tym mocniej czuła... coś jeszcze. Delikatne drżenie tuż przy gardle. Zatrzymała się, marszcząc brwi. Dopiero wtedy poczuła lekki chłód metalu na sierści.

Palnęła się mentalnie w czoło.

– Nie miałam wcześniej... – sięgnęła odruchowo kopytem pod obojczyk. – Co ty tu robisz, małeńka?

Na styku ciemnej zbroi i futra, dokładnie tam, gdzie łączyły się kołnierz i napierśnik, zaczepiona była niewielka, okrągła spinka. Ciemna jak nocne niebo, z ledwo widocznym reliefem półksiężyca od środka. Z daleka wyglądałaby jak ładny, gustowny detal zbroi – nic, co przyciągnęłoby uwagę. Z bliska... czuć było, że to nie jest zwykły kawałek metalu.

Pulsował pod kopytem, jakby oddychał.

– *Bo jej nie miałaś* – odezwał się w jej głowie miękki głos Luny. – *To najnowszy dodatek.*

Green westchnęła z udawaną rezygnacją, ale i nutą zadowolenia, słysząc swoją mentorkę. Co prawda nie do końca podobało jej się, że “siedziała” u niej w głowie i ją podsłuchiwała, ale jednak dodawało jej otuchy to, że nie jest sama.

– Oczywiście. Tysiąc lat minęło, moda się zmieniła, trzeba było mnie doposażyć w biżuterię.

– *Przyda ci się, kiedy już wyjdiesz na powierzchnię* – kontynuowała Luna, ignorując sarkazm. – *Spinka pozwoli ci zmieniać wygląd. Kilka ustalonych form. To... bardziej zaawansowana iluzja połączona z transmutacją. Będzie boleć, ale zwykłe zaklęcia wykrywające iluzje nie powinny cię złapać.*

Green przyjrzała się ozdobie raz jeszcze. W świetle dogorywającej lunarnej lampy metal błysnął krótko, jakby przeleciała po nim miniaturowa fala gwiazd.

– Będzie boleć – powtórzyła. – Zauważyłam, że to jest motyw przewodni tego projektu.

– *Lubisz wyzwania* – przypomniała jej Luna.

– Lubię, jak wyzwania nie próbują wyrwać mi kości z ciała – sprostowała Green. – Ale dobra, katalog cierpienia przejrzymy później. Najpierw wyjście.

Ruszyła dalej.

Schody w górę pojawiły się nagle, tuż za lekkim załomem korytarza. Kiedyś były idealnie równe, starannie wypolerowane – teraz krawędzie miały wyszczerbienia, miejscami pokrywał je mech i cienka warstwa czarnego osadu po dawnej magii.

Pierwsza próba pokonania jednorazowo trzech stopni skończyła się tym, że usiadła gwałtownie na zadzie.

Kamień był twardy. Ego zabolalo mocniej niż tyłek.

– Nikt tego nie widział – mruknęła, rozglądając się odruchowo, choć oprócz kurzu i pajaków nie miała publiczności. – Oficjalna wersja: dostojne wejście po schodach.

Tym razem brała je po jednym. Powoli, uważnie, pozwalając, by mięśnie przypomniły sobie, jak się pracuje w pionie. Z każdym piętrem oddech stawał się cięższy, ale i bardziej rytmiczny. Serce przestało tłuc się jak wściekłe, zamieniło się w solidny, żołnierski werbel.

Po drodze mijala wąskie nisze w ścianach, w których kiedyś stały lunarne posągi – teraz większość z nich była pokryta grubą warstwą kurzu i pajęczyn, cokoły porastał mech. Z jednego zniszczonego czasem reliefu patrzyły na nią dwie wykute w kamieniu oczy: pionowe źrenice jak na jej gust bardzo ładne.

Na kolejnym piętrze schody otwierały się w niską, sklepioną salę. To była dawna izba szkoleniowa – poznawała ją po wyblakłych liniach na podłodze i fragmentach drewnianych manekinów rozrzuconych przy ścianach. Jeden z nich, bez głowy, sterczał jeszcze na trzech nogach.

Przez moment przyszła jej do głowy absurdalna myśl, żeby podnieść go i ustawić prosto – jakby porządek w tym jednym pokoju mógł przywrócić do porządku cały świat.

Nie zrobiła tego.

– Później – powiedziała do sali. – Jak się okaże, że nikt nas od razu nie spali na stosie. Obiecuję wam generalne sprzątanie.

Korytarz, który pamiętała jako „ten pod dziedzińcem”, też się zmienił. W miejscu, gdzie kiedyś wisiał ciężki arras z herbem Nocy, została tylko obdarta z gwoździ ściana. Na ścianie po prawej stronie znajdowały się małe, wąskie schodki, które umożliwiały niepostrzeżone wyjście przez ukryte magiczne drzwi w zamkowej fosie.

Green zacisnęła zęby, przecisnęła się przez wąskie przejście, zahaczając zbroją o wystające kamienie. Pancerz zaprotestował głuchym zgrzytem, który w jej głowie urósł do rozmiarów bitewnego gongu.

A potem świat nagle się otworzył.

Wyszła na zewnątrz i stanęła wewnątrz ruin zamku, którego kiedyś broniła.

Powietrze uderzyło ją w pysk całą gamą zapachów: wilgoć lasu, mech, dawno spalona magia, świeża ziemia po niedawnym deszczu, coś słodkiego z kwitnących nocą roślin. Po tysiącu lat hermetycznej stazy każdy zapach był ostry jak cios.

Ruiny wyglądały jak szkielet dawnej fortecy. Ściany, które kiedyś dźwigały wieże, stały powygryzane, porośnięte winoroślą. W miejscach, gdzie były kiedyś krużganki pełne straży, hulał wiatr, przemykając przez puste okna bez witraży. Kocie łby dziedzińca pochłonęła trawa; tylko tu i ówdzie widać było regularny zarys czegoś, co musiało być niegdyś placem apelowym.

Green przymknęła oczy, próbując nałożyć stary obraz na nowy.

Tutaj – rząd Nocnej Straży na porannym meldunku. Tutaj – Luna na balkonie, rzucająca krótkie, rzeczowe uwagi. Tu – kuchnia, z której wiecznie pachniało świeżym chlebem i spaloną owsianką Irona.

Teraz w każdym z tych miejsc rosło drzewo.

– No – wyszeptała. – Na pewno nie jest nudno.

Podniosła wzrok. Niebo nad Everfree było takie samo jak kiedyś: ciemne, gwiazdziste, spokojne. Tylko gdzieś wysoko jedna gwiazda błysnęła mocniej, jakby ktoś mrugnął do niej z góry.

Ale horyzont...

Green zmrużyła oczy. Daleko, na zboczu góry, świeciło coś, czego nie pamiętała. Pasma światel, równych, uporządkowanych, w wielu kolorach. Nie pochodnie. Nie ogniska. Światło było zbyt stałe, zbyt czyste.

– Co to...? – zaczęła.

– *Canterlot* – odpowiedziała Luna w jej głowie. – *Nowe miasto. Stolica. Zamek Celestii.*

Green parsknęła.

– Trochę... – szukała słowa – ...ostentacyjne, nie? Całe miasto na górze, jak korona?

– Ma pasować do legendy – odparła Luna. – Wielkie, jasne, bezpieczne.

Green chwilę milczała, wpatrując się w pulsujące światła.

– A ja jestem tutaj – skwitowała. – W starych ruinach, w lesie pełnym potworów, którego pewnie już też nikt nie bierze poważnie.

– *Większość kucyków trzyma się od Everfree z daleka* – przyznała Luna. – *Mówią, że jest dziki, nieprzewidywalny, niebezpieczny.*

– Czyli idealny dla mnie – uśmiechnęła się Green. – Świetnie.

Usiadła na niskim murku, pozwalając skrzydłom opaść. Mięśnie wciąż protestowały, ale ból był już mniej ostry. Bardziej jak obolałość po dobrej walce niż jak szok po trepanacji czaszki.

Przeciągnęła się ostrożnie, czując, jak coś strzela jej w kręgosłupie.

– No dobrze, księżniczko – powiedziała w końcu. – Jaki jest pierwszy krok? Bo zakładam, że nie mam po prostu polecieć do tego świecącego miasta i zapukać do drzwi z tekstem: „Cześć, jestem z twojej niewygodnej przeszłości, przyszłam pogadać”.

– *Pierwszy krok jest prosty* – odpowiedziała Luna po chwili. – *Przeżyj tę noc. Znajdź coś do jedzenia. Zobacz, jak ci się śpi. Kiedy zaśniesz, pojawię się znowu. W snach mogę ci pokazać więcej niż możemy teraz powiedzieć na głos.*

Green skrzywiła się.

– Czyli jednak „najpierw chodzenie, potem ratowanie świata” – mruknęła. – W porządku.

Podniosła się i rozejrzała po ruinach z praktycznym okiem żołnierza szukającego tymczasowej bazy.

Zrujnowana wieża – odpada, za dużo dziur, za mało dachu. Zawalony most – odpada, chyba że ktoś bardzo lubi spać na przeciągu. Fragment wschodniego skrzydła – wyglądał najrozsądniej. Ściany jeszcze stały, dach trzymał się cudem na kilku belkach porośniętych mchem.

– Znalazłeś jakieś dobre miejsce na bazę? – zapytała, schodząc z murku.

– *Pod starym skrzydłem wschodnim* – odpowiedziała Luna. – *Najlepiej jeśli ukryjesz się w kryjówce Nocnej Straży, w części mieszkalnej powinno się znaleźć coś gdzie da się przespać. Jeżeli nikt nie znalazł bazy przez tysiąc lat to i teraz nie masz się czego obawiać.*

Green podreptała z powrotem w stronę wejścia do kryjówki, czując, jak ciało coraz bardziej akceptuje fakt, że znowu musi współpracować z grawitacją. Wejście było przysłonięte przez pnącza i dodatkowo odpowiednio magicznie ukryte.

– Zawsze warto mieć własne tajne przejście – mruknęła pod nosem, przeciągając po kamieniu skrzydłem.

W środku było ciemno, ale przyjemnie chłodno. Korytarz za wejściem prowadził lekkim łukiem – tak, by nawet przypadkowy promień światła z zewnątrz nie sięgał dalej niż kilka kroków. To był typowy projekt Luny: zero przypadkowych linii widoczności.

Po kilkunastu krokach kamień pod kopytami zmienił fakturę – z chropowatego, zewnętrznego bruku na gładszą, wewnętrzną posadzkę. Ściany przeszły z surowych bloków w starannie ciosane płyty.

Idąc korytarzem, gdzie kiedyś wisiał arras z herbem Nocy, dotarła do komnaty. Była niewielka, ale sucha. Pod ścianą stał stary, przewrócony stół, obok kupa spróchniałych skrzyń. Nad wszystkim wisiała warstwa kurzu tak gruba, że aż prosiła się o wyrysowanie czegoś kopytem.

Green obeszła pomieszczenie, testując echo.

– Dobrze tłumi – mruknęła. – Jakbym się darła, to nikt niczego nie usłyszy. Idealnie.

Przepchnęła stół bliżej wejścia, ustawiając go tak, by w razie czego można było szybko zablokować drzwi. Z jednej ze skrzyń udało jej się wygrzebać kawał starych płaszczy – zjedzonych przez mole, ale wciąż na tyle całych, by dało się z nich ułożyć prowizoryczne pośłanie.

Kiedy się na nim w końcu położyła, ciało zaprotestowało zbiorowym „uff” wszystkich mięśni.

– I Green... – odezwała się Luna.

– Mhm? – wymruczała, nie otwierając oczu.

– Jeśli spotkasz kogoś z zewnątrz... – Luna mówiła powoli. – Postaraj się jakoś zręcznie wyłgać, nie zwracaj na siebie niepotrzebnej uwagi. Celestia nie jest głupia. Jeśli usłyszysz plotki o kimś rozgłaszającym wiedzę o „Nocnej Straży” z Everfree, zacznij szukać.

Green prychnęła.

– Nie martw się – uśmiechnęła się cienko. – Po tysiącu lat snu moją pierwszą instynktowną reakcją na obcych i tak będzie „nie ufać”.

Przez chwilę w komnacie słychać było tylko jej własny oddech i odległy szum lasu.

– Ale powiedz mi jedno – dodała po chwili, wbijając wzrok w ciemny sufit. – Skoro nikt nie pamięta wojny, skoro wszystko jest w bajkach... skąd w ogóle wiesz, że warto to ruszać? Może im z tym kłamstwem wygodnie. Może są szczęśliwi.

Wiatr zaszumiał gdzieś w ruinach. Kiedy Luna odpowiedziała, jej głos był cichszy niż wcześniej:

– Bo są tacy, którzy płacą za to kłamstwo – powiedziała. – Nawet jeśli sami nie wiedzą, za co. A ja pamiętam ich imiona. Twoje też.

Green zacisnęła powieki. Przez moment milczała, tylko uszy drgnęły jej nerwowo.

– Czyli klasyka – mruknęła w końcu. – „Dobro ogółu”, „większość zadowolona”, a resztę zmiata się pod dywan, tak?

Luna zawahała się na ułamek sekundy.

– Jest jeszcze coś – zaczęła, ostrożnie dobierając słowa. – Od momentu, w którym powróciłam, nie widziałam ani jednego kucoperka. Ani w Canterlocie, ani w żadnym mieście, które odwiedziłam. W straży, w gwardii, na dworze... nigdzie.

Zaczerpnęła powietrza, jakby nawet w świecie snu brakowało jej tchu.

– Ich nie ma, Green. Nie wiem, gdzie podział się cały twój gatunek. I nawet nie mogę głośno dopytywać, żeby nie zwrócić na nas uwagi.

W komnacie zrobiło się jakby chłodniej. Green otworzyła oczy, ale nie widziała nic poza ciemnością i kilkoma jaśniejszymi plamami tam, gdzie w murze odspoił się tynk.

– Co znaczy „nie ma”? – zapytała powoli. – „Nie ma, bo poszli sobie na urlop”? „Nie ma, bo ktoś ich schował”? „Nie ma, bo...?”

Głos zadrżał jej przy ostatnim „bo”, ale przełknęła to i dokończyła zdanie tak twardo, jak umiała:

– ...bo ktoś uznał, że już nie są potrzebni?

– Gdybym miała odpowiedź, powiedziałabym ci – odparła Luna. – W snach kucyków widzę legendy o „strasznych nietoperzowych sługach księżycy”, którymi straszy się niegrzeczne żrebęta. Widzę stare obrazy, na których ktoś zamalował skrzydła. Widzę ślady, ale nie widzę was.

– Świetnie – Green zaśmiała się krótko, bez radości. – Czyli oficjalnie jestem potworem z bajek na dobranoc. Zawsze chciałam zrobić karierę, ale to nie była dokładnie ta ścieżka, o której myślałam.

Przetarła pysk kopytem, chociaż niczego to nie zmieniało.

– A tamci? – spytała ciszej. – Moja Straż. Dwudziestka w kryształach.

– Śpią – uspokoiła ją Luna. – Są bezpieczni. Dopóki nikt nie znajdzie komnaty stazy, dopóty czas ich nie osiągnie. Dlatego obudziłam tylko ciebie. Jedną.

– Żeby mieć mniej kłopotu – spróbowała zażartować Green, ale wyszło jej to sucho. – Jedna kucoperka, jedno zmartwienie.

– Żeby cię nie stracić – poprawiła ją cicho Luna. – I żeby nie obudzić całej Straży w świecie, który być może w ogóle nie ma dla was miejsca. Najpierw muszę wiedzieć, co się stało.

Green zamilkła. Serce biło jej szybciej, mimo że leżała.

– Czyli... na razie jestem...? – zaczęła, ale zabrakło jej słowa.

– Pierwsza – odparła Luna po krótkim namyśle. – Pierwsza, o której wiem. Pierwsza, do której mam dostęp. Nie powiem „ostatnia”, dopóki sama nie sprawdzimy.

– „Pierwsza” brzmi lepiej niż „ostatnia”, ale i tak mam ochotę komuś przywalić – mruknęła Green. – Nie powiem „komu”, bo i tak się domyślasz.

Na moment w jej głowie odmalował się obraz białej sylwetki w złotej aureoli. Aż zgrzytnęła zębami.

– Spokojnie – odezwała się Luna. – Na gniew będzie jeszcze wiele okazji. Teraz potrzebujemy czegoś, czego ty nigdy nie miałaś w nadmiarze.

– Czego? – prychnęła. – Subtelności? Taktu? Delikatności?

– Cierpliwości – odparła Luna z lekkim uśmiechem w głosie.

Green przewróciła oczami, choć nikt poza nią tego nie widział.

– Super. Najpierw mówisz mi, że możliwe, że mój gatunek wyparował, a potem wymagasz cierpliwości – podsumowała. – To się nazywa „motywacja przez traumę”?

– Nazywa się „mówię ci prawdę” – odpowiedziała Luna. – Nigdy cię nie okłamywałam, Green. Nawet wtedy, kiedy powinnam była być... łagodniejsza.

Przez chwilę obie milczały.

– Dobra – powiedziała w końcu Green, wypuszczając powietrze z lekkim świstem. – Założmy, że gdzieś tam są jacyś moi. Może daleko, może poza Equestrią. Może wcale, ale założmy, że tak. Jak ten cały plan z Ponyville ma im pomóc?

– Jeśli chcę szukać zaginionych – wyjaśniła Luna – muszę najpierw zrozumieć, jak działa ten nowy świat. Gdzie są jego pęknięcia, gdzie granice, czego boi się Celestia, o czym milczą kronikarze. A Ponyville...

Zawiesiła głos.

– ...jest bliżej prawdy, niż się wydaje – dokończyła. – I bliżej Elementów Harmonii. A one są kluczem, choć jeszcze nie wiem, do czego.

Green parsknęła cicho.

– Czyli ja mam być twoimi oczami i uszami na dole, zanim zaczniesz rozwalać całą układankę – streściła. – Szukam pęknięć, tropów, ruchów Celestii. I... może przy okazji śladów kucperków.

– Tak – przyznała Luna. – Jeśli gdzieś pojawiły się wzmianki o was, jeśli ktoś was widział, jeśli są senne koszmary, które do niczego nie pasują – prędej czy później wypłynie to właśnie na obrzeżach Equestrii, w miejscach mniej kontrolowanych przez dwór.

Green przekręciła się na drugi bok, opatulila się starym płaszczem jak kokonem.

– Dobra. Czyli plan jest prosty – rzuciła. – Odzyskać formę, przeżyć wejście do cywilizacji, nie dać się zdemaskować, grzebać w mitologii, badać ruchy słońca i przy okazji znaleźć cały zaginiony gatunek. Brzmi prawie jak przepustka.

– Zawsze lubiłaś ambitne zadania – przypomniała jej Luna.

– Lubiałam też mieć oddział za plecami – odburknęła Green. – Teraz mam tylko ciebie w głowie i medalik przy gardle.

Dotknęła kopytem spinki. Metal odpowiedział cichym, równym pulsowaniem.

– To więcej niż ma większość – odparła Luna spokojnie. – I nie będziesz sama tak długo, jak ja potrafię wchodzić w sny.

Green westchnęła ciężko, ale w jej głosie pojawiła się nuta decyzji, której wcześniej brakowało.

– Okej – powiedziała. – Zróbmy tak: ty szukasz w snach i starych księgach, ja w realu i plotkach. Jak gdzieś tam są kucoperki, to któregoś dnia ktoś popełni błąd, powie za dużo, narysuje coś, co nie pasuje. A my będziemy czekać.

– To wystarczy – potwierdziła Luna.

Zapadła krótsza, tym razem mniej ciężka cisza.

– Ale uprzedzam – dodała Green, ziewając szeroko. – Jak się okaże, że naprawdę jestem ostatnia, to nie odpowiadam za to, co zrobię, jak wejdę do Canterlot.

– Jeśli do tego dojdzie – odparła Luna łagodnie – będę stała obok.

Coś w tym prostym zdaniu uspokoiło Green bardziej niż wszystkie wcześniejsze zapewnienia. Mięśnie wreszcie przestały trzymać się w ciągłym napięciu, oddech wyrównał się.

– Dobra – mruknęła, przymykając oczy. – W takim razie... idę się wyspać, zanim zacznę ratować gatunki, obalać mity i robić inne ambitne rzeczy.

– Śpij, Green – szepnęła Luna. – Znajdę cię we śnie. A jutro porozmawiamy o tym, jak zostać zwyczajną, niczym niewyróżniającą się kłaczą z Ponyville.

– Brzmi jak największe wyzwanie do tej pory – uśmiechnęła się Green półgębkiem. – Dobranoc, księżniczko.

Ciemność w komnacie zrobiła się jakby miększa. Szum lasu za murami przeszedł w jednostajny, kołyszący pomruk. Spinka przy jej szyi pulsowała równo, w rytmie serca. Jeśli była ostatnią kucoperką w Equestrii – albo pierwszą od tysiąca lat – to przynajmniej wiedziała jedno: jutro zaczną szukać reszty.

Pierwsza noc po tysiącu latach zapowiadała się boleśnie.

Ale przynajmniej nie była nudna.